

LIBERUM VETO

pismo narodowo-radykalne.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie Mk. 36.

Półrocznie „ 18.

Kwartalnie „ 9.

Miesięcznie „ 3.

Za przesyłką pocztową 1 mk miesięcznie.

Cena egzemplarza Mk. 1.25.

Adres Redakcji: ul. Żórawia 7.

Prenumerować można w Administracji „Biblioteki Dziel Wyborowych“, ul. Sienkiewicza 12, we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincji oraz w kioskach kolejowych.

Za dostarczanie do domu 50 fen.

Nasienie Piastowe.

Według symboliki chrześcijańskiej, a w tym wypadku zgodnej z jaźnią aryjską, Bóg w duszy człowieka rodzi się co roku, jak co roku odnawia się wiosna, Bóg historii, mówiący poprzez epoki, rodzi się raz na mnogie stulecia. Narodził się w roku 1918, jako najwyższa Mądrość, Sprawiedliwość i Miłość.

Nietsche w proroczych męczarniach proklamował Zmierzch Bogów. Tak: skon Tora Walhalli i żydowskiego Jahwe, bogów Bezmiłości.

Zachodnie ludy Koalicji łamią się już przy Wieczerzy Wigilijnej białym oplatkiem pokoju.

Niebawem wydadzą obowiązujące prawa Zgody Narodów.

Świt kultury chrześcijańskiej staje na progu Wielkiego Odrodzenia i Rozkwitu, jakich od czasów powstania życia ludzkiego ziemia jeszcze nie widziała.

Wkrótce i na nas, powstających z letargu, uderzy ta majestatyczna fala, i upiornobładym licom Łazarza narodów powróci rumieniec zdrowia.

REDAKCJA.

Narody nowoczesne są wytworem skrzyżowania się ras często bardzo odmiennych.

Pęd cywilizacyjno-kulturalny mieszaninom biologicznie różnym, nadaje zwykle jedna rasa podstawowa o cechach utrwalonych, nadaje im trwały ton uczuciowy i planowość programu politycznego. Bez takiego tonu mieszanina skazana jest na chaos ciągły i beznadziejny. W narodzie polskim, mającym tysiąc lat życia historycznego, tą rasą podstawową było, jest i będzie do końca Polski—nasienie Piastowe, czyli wielkopolskie. Ono zrobiło Polskę—wielką.

Orzeł biały wylął się nad Gopłem. Tam wyroiły się również gospodarne pszczoły. Tam Przemysław proklamował pierwsze zjednoczenie Polski. Tam wyrósł żelazny Łokietek. Tam narodziły się rusałki-Goplany, chochliki, Lech, Lilla i Roza. Tam jest nasza macierz, nasza siła, nasze źródło życia. Zasypcie je, jeżeli kto zdoła, a będziecie na pogrzebie Polski. Robota dla Niemców, Żydów i Rosjan.

Wśród burzy, w błyskawicach piorunów, gdy ziemia europejska trzęsie się od parcia wewnętrznych ogni, stoi Wielkopolska jak idea, jak Nieśmiertelność. Albowiem rasa jest idea i to najrealniejszą z realnych. Kto rozumie Platona, zrozumie i te słowa.

Często gada się tu i owdzie, że Wielkopolan zrobili Niemcy. Zapytajcie górnika Korfanteo, a odpowie wam na to błyskiem delikatnym pogardy. Knechty nie mogły cywilizować panów, to panowie muszą nauczyć knechtów, jak się tworzy płodność życia. Wielkopolanie są dzisiaj jedynymi romantykami Polski, silni duchem i pracą. Im to przyjdzie, sposobem Łokietkowym, zebrać razem to, co Krzyżacy i mongolowie rozebrali, doprowadzić do ładu inne dzielnice Polski, które wyszły z formy.

Gdy ci ludzie Piastowi przyjechali do Warszawy z radosnym pędem jak na weselne gody zjednoczenia, po tylu, tylu latach straszliwej niedoli, zastali

tutaj nie świetlicę stołeczną wielkiego narodu, ale dawną upiorową szlacheko-chłopsko-żydowską karczmę z Niemcem jako właścicielem. Dobrotliwie wezwali braci do wspólnej pracy. Rozpojonej tłuszczy mówić o pracy? Zawsze. Musi sama łbem uderzyć o ścianę, aby się jej w oczach rozświeciło.

„Z tymi ludźmi nie można pracować“ — rzucili Wielkopolanie i Ślązacy — nie oskarżenie, bo twardy los własny i wypracowanie wszystkiego co posiadają, nauczyły ich powściągliwości, lecz wydali wyrok moralny i... przeszli do swego porządku dziennego, natychmiast, nie tracąc czasu. Dali radę Niemcom, dadzą radę i swoim. Prowadzi ich geniusz rasy.

Trzeba wytłumaczyć towarzyszom, hrabiom i burżujom „Warszawki“, dlaczego ci „sklepiarze“ wielkopolscy i oni, nie kto inny mają przywrócić Polsce zjednoczenie, siłę, majestat, i przewagą ducha Łokietkowego i Kazimierzowego zburzyć warszawską międzynarodową karczmę. Albowiem są to ludzie na serjo. Gdy się przypatrze promieniem Roentgena ludziom warszawskim i krakowskim, dochodzi się do poczucia, że są to przeważnie uczestnicy teatru amatorskiego, miłośnicy sceny i jako tacy nie cierpią prawdziwych artystów. Tandeta. Łatwo zrozumieć, w jaki sposób tacy ludzie mogą i muszą prowadzić sprawy społeczne i polityczne. Miłośnicy sceny historycznie drgają ciągle pomiędzy komedjantami ubranymi w mitrę książęcą lub w czapkę frygijską towarzysza.

Istota rzeczy polega na tem, że Wielkopolska od wieków była demokratyczna w szlachetnym i zarazem realnym tego słowa znaczeniu. Nie miała ani „paniactwa“ małopolskich, ani kneziów rusko-litewskich. Nie znała nigdy „nie wolników“, nie miała ani feudalizmu ani rabstwa, nie znała „pocałowania w łapę“. Stara, piastowa, kmiecia równość w stosunku społecznym, arystokratyczność indywidualizmów w stosun-

ku moralnym. Ekonom z batogiem nie miał tu nigdy powodzenia, jak później pruska żandarmka pikelnauka. Rasa, nie podlegając zastryknięciom „szerokiej” krwi mongolskiej, pozostała silną zdecydowaną orientacją. Na grobowcu Chrobrego w katedrze wielkopolskiej obok Orła Białego możnaby umieścić drugi herb: miodonośną pszczołę z ostrym żądłem obrony.

Wielkopolska dzisiaj jest pełnoletnią, dojrzałą siostrzycą demokratycznych narodów Zachodu i dla tego — primo: ona jedna może być skutecznym z tamtymi pośrednikiem przy odbudowaniu historycznego państwa polskiego — powtóre: musi wziąć przewodztwo nad anarchją Kongresówki i Galicji. Kongresówka od wschodu jest zarazona bolszewizmem mongolskim, Galicja — biurokratyczną kiłą austriacką. Są to dziecinice chore, robią wrażenie wielkiego szpitala chorób zakaźnych i muszą iść pod troskliwą opiekę lekarską. Dobrze, że lekarzami mogą być nie obcy, ale uczciwi bracia.

Wiedźcie o tem raz na zawsze, burżuazje i towarzysze, że duch piastowski nie myśli ani chce pobłażać jednym lub drugim. Ocenia przenikliwie tutejsze próżniactwo i lekkomyślność agrarju-

szowskie i kapitalistyczne i płynącą stąd nieudolność i bezwiad patryjotyczny. I ocenia zarówno haniebną mongolokoburzyckiście zapędy przeróżnych Papuasów Europy Wschodniej, zadłużonych u karczmarza żyda. Nie wierzy, ani w miłość ichorzliwych wyzyskiwaczy, ani w siłę nienawiści zuchwalcyn czerwonoskórych.

Duch piastowski idzie naprzód powoli, jak gospodarz myślący i rozważny, aby nie potrzebował wracać napowrót, albowiem nadążyć musi rytmowi świata Zachodu i nie ma czasu na teatry amatorskie. Ale kroczy z zacięciem ust Drzymały i Słomka na wielkiej placówce Zachodu nad Wisłą. Zdaje sobie sprawę z trudnego zadania historycznego, jakie położenie terytorjalnie włożyło mu na barki i dla tego marsz jego jest tak rozważny i pozornie nie „szeroki” i nie „bujny”. W treści jest prometejski w polskim tego słowa i jedynym tylko sobie właściwym znaczeniu. Urodził się pod znakiem słońca z boga Światowida i bogini Żywej i może umrzeć tylko razem ze słońcem. A na wystygnięcie słońca, historia Kosmosu jeszcze poczeka.

Ignacy Grabowski.

O czem trzeba pamiętać przy tworzeniu armji polskiej.

W armję wcielają wszelkie ekonomiczne i duchowe siły narodu. Jest ona wskutek tego organizacją bardzo złożoną, jest olbrzymim, z różnorodnych części złożonym organizmem, który jednak powinien przedstawiać jednolitą sprawną całość. W armji, równie jak w każdym organizmie, każdy szczegół jest niemal jednakowo ważnym, bo o najmniejszą drobnostkę może się w danym razie rozbić, powodzenie najlepszego żołnierza. Wystarczy, naprzykład, by pociski były o małą część większe od średnicy dział, by obezwładnić całą baterję.

Książę Drucki-Lubecki swe marzenia o niezależnej Polsce wyraził w krótkim aforyzmie, że „Polsce trzeba szkół i fabryki broni”. Rozumie się, własnej fabryki broni, bo jest rzeczą jasną, że nie można zaopatrywać się w broń u tych, którzy w zmiennych kolejach losów mogą się stać naszymi wrogami. Armja musi być niezależną od sąsiadów. Armja musi czerpać wszystko z łona własnego narodu od guzika poczynając, kończąc na ideałach.

Taką bojową samotwórczość, taką wszechstronną niezależność w tworzeniu naszej siły zbrojnej mieliśmy wówczas, gdy wojny szwedzkie, moskiewskie i tatarskie trzymały kraj cały w ustawicznym ogniu, gdy każdy Polak uczył się wojować praktycznie od wczesnej młodości na polach chwały lub klęski. Wtedy to, — nieśmiertelnej pamięci król Stefan mógł wyrzec te pamiętne

słowa: „We dwie niedziele wojsko sprawione, — w sześć niedziel z wrogiem się ścina”. Te słowa potężnego króla wstrząsnęły wahającym się sejmem, który zatwierdził żądane przez króla kredyty wojskowe.

Ale w owych czasach wszystko było w kraju. Granica zachodnia w spokoju, a środki materialne i ryceerstwo w domu. A prócz ryceerstwa i wodzowie wytrawni, zaprawieni w bojach. Był i Zamojski i Urowiecki i młody, przysły lew Żółkiewski i Bekiesz i Bornomissa i wielu, wielu innych, posiwiałych w bojach rycerzy: pułkowników, generałów, głównodowodzących, jakbyśmy ich dziś nazywali. Wszystko to byli wytrawni w swym fachu specjaliści wojskowi, a wielu z nich należało do najwyższataleńszych ludzi w Europie.

Dzisiaj rzeczy przedstawiają się zupełnie inaczej. „We dwie niedziele” wątpię, czybyśmy się zdołali zdobyć na samo umudurowanie, bez którego, w ostateczności, może najłatwiej składować się obyć. Ale o innych, istotnych składnikach armji, w tak krótkim czasie nawet i marzyć nie można. Nie można marzyć, choćby dla tego, że technika sama dzisiejszych wojen wymaga olbrzymiego czasu na przygotowanie materiału technicznego.

A prócz tego rozbieżność poglądów społecznych, roznamiętnienie polityczne, długotrwałe, bo z górą wiekowe skrepowanie nas, przez trzy największe militarne potęgi świata, wreszcie ekono-

miczne wyczerpanie w wyniku długotrwałej wojny, wszystko to osłabia nas do tego stopnia, że wytworzenie w danej chwili zdolnej do wielkich czynów armji jest dla nas dzisiaj zadaniem bardzo trudnym. A jednak do rozwiązania go należy przystąpić niezwłocznie, — ale z rozważną pełną irwożliwej miłości dla armji, dla kraju i dla przyszłości obojga.

Zwołać oficerów, odziać ich w mundurki, dać konie, karabinki i działa — to można zrobić nawet dość prędko, i co więcej zrobić to należy jaknajprędzej. Trudniej jednak zwołać i uzdolnić do boju i zabezpieczyć od niepowodzeń, gdyż na to trzeba napełnić arsenały bronią i amunicją, zaopatrzyć magazyny intendentury w materiały pierwszorzędnej dobroci, doprowadzić sprawność i celowość organizacji do tej doskonałości, któraby z ogromnego zbiorowiska indywidualności, przenoszącego setki tysięcy tysięcy ludzi zrobiła jeden sprawny działający organizm.

Na to trzeba, mówiąc krótko: nauki, nauki i jeszcze raz nauki, bo „minął wiek złoty i uczyć się trzeba”.

Jeśli ten ogólnik o nauce zechcemy ściślej określić, to dość jest zważyć, że o dobrej armji nie może być nawet mowy: 1) bez doskonałego dowództwa, 2) bez biegłych specjalistów w broniach uczonych, 3) bez wyszkolonych — istotnie uczonych intendentów, i 4) bez wyszkolonego, szlachetnego korpusu oficerskiego.

To są cztery prawdy zasadnicze, występujące z jaskrawą dobitnością w bardzo pięknym studjum Prof. D-ra W. Tokarza *) o armji Polskiej w okresie 1815—1830 r. Rzecz, prosta, że dowództwo, sztab, intendentura i t. d. muszą być własne, sprowadzać ich od obcych nie można.

Ja osobiście mam, tak wysokie pojęcie o zdolnościach i przymiotach umysłu i charakteru rasy polskiej, że ani na chwilę nie wątpię, że w naszej armji cały korpus oficerski może być nie tylko równy, ale nawet lepszy od najlepszych wzorów zagranicznych. Na innych polach twórczości nie daliśmy się zdystansować nikomu, da Bóg, nie damy i na polu militarnem.

Lecz dzisiaj, gdy na usługach armji są najwyższe zdobycze naukowe i najbardziej kunsztowne środki techniczne, (telefony, radio, działa dalekonośne, żegluga podwodna i napowietrzna i t. d.) największe choćby zdolności wrodzone nic nie poradzą bez wiedzy i nauki. Wiedza i najdalej idąca nauka muszą być ześrodkowane i w dowództwie bojowym i w sztabie i w korpusie oficerskim. Bez najdalej i najgłębiej idącej nauki nie może być wzorowej armji, choćby wszyscy bez wyjątku szeregowcy byli płomiennymi, pełnymi poświęcenia patryjotami.

*) Prof. Dr. Wacław Tokarz. Armja Królestwa Polskiego (1815-1830) Piotrków 1917 r. Jest to bardzo rozważna, piękna i duchem obywatelskim ożywiona synteza pamiętnikowej i historycznej literatury tego Przedmiotu.

Wprawdzie dzisiaj możemy znaleźć w kadrach wojsk austriackich, rosyjskich, a może i niemieckich fachowców polaków o wyjątkowej wiedzy i zdolnościach,—wszakże traktując rzecz zasadniczo—z umysłu nie przytaczam nazwisk osób obznajmionych poważnie i gruntownie—bądź to z żegluga powietrzną, bądź to z materiałami wybuchowymi, bądź to z radiotelegrafją i intendenturą. Ależ oni nie są wieczni. Zestarzeją się i zejda z pola działania. Trzeba więc jaknajprędzej myśleć o przygotowaniu nam przyszłego sztabu głównego, przyszłych wodzów naczelnych, takich by ich wrogowie szanować musieli i przed którymi pochylałyby się głowy wszystkich Polaków, bez względu na ich przynależność partyjną w tem przekonaniu, iż to są prawdziwi i umiejętni obrońcy Ojczyzny: „Defensores Patriae”. Obyż losy nie kazały nam nigdy nazywać ich „Salvatores”.

Z powyższych przesłanek wynika, że miał rację Książę Drucki—Lubecki, że Polsce potrzeba szkół. Armji zaś Polskiej potrzeba fachowych szkół wojskowych, a przede wszystkim najwyższej szkoły, czyli Akademji Wojskowej, z której wychodziliby najwyżsi kierownicy naszego wojska.

Jeżeli do kilkoletnich studjów w Akademji dodamy odpowiednią praktykę bojową w potrzebach lub na manewrach—to niestety przyjdziemy do wniosku, że pierwsze owoce wysiłku w tym kierunku dopiero za lat dziesiątek bez mała dojrzeją. I w tem tkwi najważniejszy motyw, by rozpocząć pracę w tym kierunku niezwłocznie, natychmiast, jaknajprędzej.

A zacząć nie łatwo. Sztab, jako całość musi umieć wszystko i rozumieć wszystko i rozumieć wszystkich. Musi wiedzieć wszystko. Musi być, w rzeczach obrony, i rozumem całego narodu i musi czuć, jak naród cały, musi być poniekąd i jego sercem. Rozum i wiedzę dadzą wychowawcom praca i profesorowie, ser-

ce i charakter wykształcą się w życiu koleżeńskim, ożywionem wspólnymi ideałami.

Akademja wojskowa daje jeszcze jeden zysk niepomierny, którego nie można dość silnie akcentować. Oto po przyjęciu zasady, że jedynie jej wychowawcy uprawnieni są do otrzymywania wyższych stanowisk, odrazu utrudnia się, albo nawet zupełnie usuwa zdobywanie odpowiedzialnych w armji urzędów wszystkim niepowołanym ulubieńcom czy to salonów czy to tłumów, które są jednakowo w sprawach wojskowych niekompetentne.

Nie zapominajmy, że nietylko Zamoiski, ale i większość naszych hetmanów należała do najwykształceńszych ludzi w Europie. I dziś w odradzającej się armji Polskiej tak samo być powinno, lecz jeśli dawniej mogliśmy kształcić swe szczyty we Włoszech i we Francji,—to dzisiaj musimy to robić u nas, w Warszawie, Lublinie lub we Lwowie, gdziekolwiek wypadnie, byleby w Polsce.

Jak przystąpić do tej pracy, stworzenia Polskiej Akademji Wojskowej, o tem winni decydować nasi obecni specjaliści. Sprawa jest zbyt ważną, by ją mogła decydować mała grupa osób, wszystko musi być obmyślane wszechstronnie i celowo. Niewolnicze kopiowanie obcych wzorów jest niedopuszczalne wobec różnic warunków i wobec różnic warunków psychologii wychowawców.

Zwykła w takich razach droga, droga „powołania Komisji, któraby, składając się ze specjalistów wojskowych i cywilnych w odpowiedniej liczbie, opracowała projekt całkowitego wykształcenia wojskowego w Polsce, zdaje się być najodpowiedniejszą. Komisja taka winna być utworzoną niezwłocznie i ukończyć swe prace dla przedstawienia ogólnego planu szkolnictwa wojskowego na pierwszym sejmie w formie gotowej ustawy.

J. J. Boguski.

Barbarzyńcy eksperymentów.

Sytuacja na gospodarczym rynku wewnętrznym, w chwili ustępowania austriaków i Niemców z b. kongresówki zdawała się rokować pomyślne rozwiązanie nagromadzonych, przez okupantów trudności, czego dowodem były, panująca w ciągu pierwszych dni dziesięciu, powszechna zniżka cen na artykuły pierwszej potrzeby i charakterystyczne oczyszczenie atmosfery w dziedzinie handlu, gdzie elementy dotychczas paskujące i szmuglujące zapowiadały lojalność względem rządu polskiego.

Wyzyskanie chwilowej konjunktury i nastroju zdawało się wskazywać pierwszym rządcom Polski drogę, na której można było osiągnąć, przy pewnym nakładzie skoordynowanej a systematycznej pracy, długotrwałą wdzie-

czność rodaków, a podwalinom gospodarstwa skonsolidowanej państwowości dać grunt mocny.

Pp. Moraczewski, Thugut et Comp. z bezślawnie, ale potomnie zeszłego gabinetu z Lublina obrali drogę inną, zbliżając rozwój wypadków w dziedzinie gospodarczej do zjawisk, wręcz przez nawiedzonych improwizatorów władzy — nieoczekiwanych. Opublikowanie przez rząd lubelski programu o socjalizacji ziemi, upaństwowieniu lasów, przemysłu, etc., niby obuchem uderzyło w ofiarny nastrój klas posiadających i w rzetelnie dobrą wolę mas.

Rząd lubelski postawił jeszcze jeden krok znamieny. Przedstawicielom banków lubelskich zapowiedziano, że rząd pieniądze weźmie sam, jeżeli tego zaj-

dzie potrzeba. Ta bezceremonialna otwartość wywołała na rynku pieniężnym zjawisko również przez mężów stanu z Lublina—nieoczekiwane. Nastąpił lekki run na banki, lekki tylko dlatego, że instynkt samozachowawczy podyktował rzeszom zainteresowanym zachowanie powściągliwości.

Dwa wiekopomne dzieła rządu lubelskiego utarły drogę jego większości do gabinetu p. Moraczewskiego, zapisane więc być mogą na rachunek tegoż gabinetu, z tym większą słusnością, że dotychczas, a zapewne i do końca swego istnienia obecny gabinet nie pozwolił sobie na krok, tak ryzykowny, jak np. wydanie dekretu gwarantującego prawo własności prywatnej do czasu nieodwołalnych postanowień sejmu.

Dwa wzmiankowane wystąpienia rządu lubelskiego wywołały poważne powikłania w życiu gospodarczym b. okupacji austriacko-węgierskiej. Po dniach dla konsumentów tłustych, po krótkim okresie zniżki cen na artykuły pierwszej potrzeby, nastąpiła reakcja zwyczajki cen i ograniczenia kredytów. Teren b. okupacji austro-węgierskiej liczy kilkanaście dni starszeństwa „wolności ludowej“ nad b. okupacją niemiecką, stąd też zjawiska znane Warszawie od dni kilku, tam, w lubelskiem, radomskiem i kieleckiem występują już w stopniu silniejszym, bądź też w formie zjawisk wtórnych, o decydującym znaczeniu dla przyszłości gospodarczej tych dzielnic.

Równoległe idąca do wzmiankowanych enuncjacji rządu, działalność regulatywna, w zakresie podziału artykułów pierwszej potrzeby, działalność nie licząca się ze sprawnością rozporządzalnego aparatu administracyjnego, a poczęta w bezkrytycznym hołdzie dla systemów monopolu i przymusu, dokonała zadania przez rząd zapewne nie zamierzonego.

Sekwestr całej litanji artykułów, fabrykatów, półfabrykatów i surowców, zakaz sprzedaży z wolnej ręki produkcji fabryk, obsadzenie wielu z nich przez skłoną do przekraczania swych praw i kompetencji milicję ludową, słowem zakorkowanie wytwórczości przemysłowej w błogiej nadziei skupu przez rząd całej produkcji, wszystko to przy zachwianiu kredytu, powoli ale pewnie prowadzi do katastroficznego końca. Program „społeczny“ rządu lubelskiego i groźba pod adresem banków miały między innymi i ten skutek, że subskrypcja pożyczki państwowej utknęła na dwudziestu, czy trzydziestu podpisanych, ale niewpłaconych milionach, wobec czego wszystkie zamierzenia gospodarki monopolowej okazały się niewykonalnymi od samego początku.

Rząd, już warszawski, uporczywie trwa przy projektach gospodarczych swych poprzedników i nie liczy się z nieuchronnymi konsekwencjami kroków postawionych uprzednio. Nie liczy się mianowicie z tem, że życie gospodarcze może być zahamowane na okres czasu krótki, tym krótszy, im mniejsza

jest zasobność rynku pieniężnego i towarowego.

Jeżeli więc możliwości dalsze, a nade wszystko dopływ gotówki dla monopolowego skupu towarów są nieosiągalne, to wszystkie zarządzenia poprzedzające, najrychlej cofnięte być winny.

Przemysł wobec trudności kredytowych i niemożności sprzedaży nagromadzonego towaru znalazł się bez gotówki, niezbędnej na wypłaty robotnikom i bez surowców dla dalszej produkcji. Nasylenie rynku handlowego towarami jest marzeniem, oddalającym się szybko od rzeczywistości, wskutek czego ceny idą w górę, a paskarstwo zbiera swe ohydne żniwo.

Miarą powstających u nas trudności kredytowych jest fakt, że konsorcjum kilku poważnych, wielomiljonowych firm, związane, w celu przejęcia monopolu zleconego przez rząd miało zapewniony w końcu listopada r. b. w bankach warszawskich kredyt do wysokości 5 milionów marek, w pierwszych dniach grudnia kredyt ten spadł do 3 milionów, w parę dni później do 300 tysięcy, dzisiaj konsorcjum żadnego kredytu już nie uzyska. Dalej, rzecz niesłychana w jednej z gałęzi naszego przemysłu w ciągu całej wojny — protest weksli — nastąpił w kilku wypadkach po 20 listopada r. b. Następnie, brak gotówki, na wypłaty robotników zmusza wielu przemysłowców do szmuglu towarów z „zakorkowanych“ fabryk przy pomocy strony bezpośrednio zainteresowanej, robotników tychże fabryk. Wreszcie, obawa przerwy w pracy spowodowanej przez brak materiałów surowych skłania robotników do zabierania gwałtem, z bronią w rękę, surowców z magazynów zasekwestrowanych przez rząd p. Moraczewskiego!

— Czy pan wie, co to znaczy, panie Moraczewski?

— Fabryki funkcjonujące dotychczas nagromadziły znaczne ilości towarów gotowych, kupcy swoje towary chowają po zakamarkach, ile że perspektywa dla paskarzy stwarza się najpomyślniejsza, konsumenci natomiast wyczekują beznadziejnie uprzystępnienia cen i poprawy losu. Towaru jest wbród, towar jest niedostępny, pytam więc, czy to jest cel zamierzony przez p. Minikiewicza?

— Rząd polski przejął po okupantach prowadzone przez nich monopole, lecz rząd polski uznaje tylko aktywa z tego tytułu pochodzące, należności obywatelom polskim „na razie“ nie płaci!

— To jest bankructwo, panie Moraczewski!

— Czy pan to rozumie?

Polityki od zagadnień ekonomicznych oderwać nie można.

Bankrut gospodarczy jest zarazem bankrutem politycznym.

I odwrotnie.

Panowie nierząd sprawujący, jak zresztą ogromna większość szarej, choć łaskrawo politykującej publiczności nie

zdają sobie sprawy z współczesnej doniosłości wpływu kwestji ekonomicznych, na kwestje polityki ogólnej — państwowej. Omawiany wpływ i zależność coprawda mogły być ujęte świadomości szerokich mas narodowych, bowiem spotęgowanie wagi czynników ekonomicznych przypada na okres naszej niewoli. Z tego też względu nikt nie zamierza czynić zarzutu obywatelom Moraczewskiemu, Thugutowi, Malinowskiemu i innym, że nad schematyczne, z przed 140 lat, pojmowanie spraw polityki państwowej nie wyrosli. Natomiast możnaby mieć żal do siebie samych, do własnego społeczeństwa, że radykalnie, acz nieudolnie myślącym obywatelom do władzy dojsz pozwoili. Acz na usprawiedliwienie własne da się chyba powiedzieć, że nikt nie przypuszczał, iż tak jest źle z inteligencją, czy dobrą wolą tych panów.

— Już wielki czas zabronić eksperymentów barbarzyńcom i ignorantom. Każdy dzień obniża wytwórczość krajową, każdy dzień niszczy wąty dorobek gospodarstwa narodowego, niweczy zdolność płatniczą mas, uniemożliwia, na długi okres czasu racjonalną politykę skarbową, a nade wszystko oddala wcielenie w życie niezbędnych, a głębokich reform ekonomicznych, które wszak znieść może, tylko zdrowy organizm gospodarczy.

Czyżby panowie z nierządu obecnego, świadomie zamierzali przygotować podatny grunt dla beznadziejnej rywalizacji w handlu międzynarodowym?

— Wszak niezależność polityczna rozpoczyna się tam, gdzie bierze początek niezależność gospodarcza. Inna niezależność, choćby spowita we wszystkie czerwone sztandary świata, choćby uznana przez wszystkie republiki i wszystkie królestwa, jest złudą pędzącą naród na trud i znój dla obcych, w niewolę!

— Przez płuca Polski, przez Gdańsk niezadługo wpłyną do nas szczęście i groza. Szczęście zjednoczenia i niebezpieczeństwo spotkania oko w oko starych demokracji o świetnych, doskonałych aniżeli niemieckie, systemach organizacyjnych, bogatych wydajnością swej pracy, zasobnych w doświadczenia techniki i kapitał, tradycyjnie szanujących swe prawa.

— Tym przybyszom pp. Moraczewski, Iwanowski i inni zamierzają przeciwstawić, udoskonalony przez siebie system paskarstwa, ruinę przemysłu, wynędzniały lud miejski i masy zaostrzonymi apetytami na cudzą własność.

Paweł Romocki.

In splendid isolation.

—o—

Po kilku tygodniach pobytu w Warszawie czuję się absolutnie odosobniony. Dla prawych jestem za lewy. Dla lewych za prawy. Czemuż nie suną, jedni i drudzy razem na mnie? Pogodzili by się na mojej skórze przynajmniej pomiędzy sobą.

Tłumaczyć? Uczyć? Powtarzać po raz tysięczny pierwszy, to co już się tysięczny razy powiedziało?

Ręce opadają. Czy podobna ocean głupoty wyczerpać łyżeczką od kawy?

Ciężko żyć w zachodniej Azji! A europejczyków jak nie widać, tak nie widać.

O! bo gdyby przyszli, to nareszcie azjaci zobaczyliby takie osobistości, jak Emila Vandervelde, sekretarza międzynarodowego biura socjalistycznego, ministra jego królewskiej Mości Alberta I-go i jednego z najgorętszych patriotów belgijskich.

Może, gdyby tego rodzaju ludzi zobaczono, gdyby przekonano się, że naprawdę żyją, chodzą, mówią, nie kłamią, możeby wówczas zrozumiano, że może się znaleźć polak na tyle zwyrodniały i na tyle przejęty kulturą zgniłego Zachodu, iż łączy w swej zdeprawowanej duszy poczucie ideału sprawiedliwości społecznej, zrozumienie chwilowej konieczności współpracy wszystkich żywotnych sił dla budowania zrębów chaty narodowej, oraz miłość ojczyzny.

Ale — jak na złość — europejczycy nie przychodzą, a gdy przyjdą, to oczywiście mówić będą po francusku, skandalizując nasze górne dziesięć tysięcy, które ich rozumieją i nie wywarły żadnego wpływu na masy, które od biedy rozumiałyby, gdyby do nich mówiono po niemiecku, ale o francuzczyźnie nie mają pojęcia.

W Rosji przez czerwiec 1917-go roku elita międzynarodowego socjalizmu: francuzi, belgowie, włosi, Anglicy, Amerykanie, zorganizowali krucjatę dla oświecenia tych, którzy ostatni weszli, ściślej — zdawali się wchodzić — do rodziny cywilizowanych ludów. Z królewską szczodrobliwością rzucano perły wieprzom, no i oczywiście wieprze zostały wieprzami, gorzej nawet: porobiły się z nich wściekłe świnię, albowiem wieprz ma to do siebie, że jest równie głupi, jak zarozumiały. Jeżeli mu się coś tłumaczy spokojnie i rzeczowo, to on ani na chwilę nie poddaje się myślom, które mu się chce narzucić; on się broni, on się utwierdza w swej głupocie, która niebawem przejdzie w wściekliwość.

Oh! la tristesse de tout cela...

U nas zanoszą się na coś podobnego, jeżeli nie jak w Rosji, to jak w Finlandji. Nasze partje prawe, jeżeli moje informacje są dobre, postawiły wymagania skromne: trzecią część tek w gabinecie, w co wchodził cały były zabór pruski. Frakcja powinna była się zgodzić na to. Nie zgodziła się i dziś mamy zaczątki białej rewolucji, które frakcję pchają coraz bardziej i coraz silniej w objęcia bolszewików.

A więc „in spe“ wojna domowa białej i czerwonej gwardji na terenie byłego Królestwa, osobny rząd w Poznaniu i osobny w Krakowie, wojna dwóch partji i trzech dzielnic... dom warjatów.

Trudno nie czuć się odosobnionym w takiej sytuacji, tymbardziej, że ratunek może przyjść, niestety tylko z zewnątrz...

A jednak, a jednak... chciałoby się krzyknąć z całych sił: ludzie, Polska się urodziła, bądźcie żesz pełni miłości i wyrozumiałości, aby królewskiemu dziecięciu nie spłoszyć z lic uśmiechu!

Frakcji, jeżeli naprawdę nie jest bolszewicka, cóż u licha szkodzi oddać trzecią część tek stronnictwom prawicowym? Przecież w Konstytucji partje prawe zdobędą więcej miejsc, niż jedną trzecią. Dla czego frakcja nie zawiązuje stosunków z koalicją? Czyżby chciała z nią walczyć? Frakcja ma klucz sytuacji obecnie, jeżeli nadal będzie chciała wyzyskać ją tylko dla siebie, to narazi kraj na rozlew krwi, a socjalizmowi w Polsce odda bardzo złą przysługę, bo go na długie lata skompromituje, co jej przepowiada izolowany europejski socjalista.

J. K.

JOHN KEATS.

Do Kościuszki.

Cny Kościuszko, już samo wielkie imię twoje
Żniwem jest, gdzie wzruszeni, żęlibyśmy kłosa:
Słyszym je, jako chwałą rozdzwonione głosy
Sfer, co melodją wieczną biją w nieb podwoje.

Oto szepcze mi duch, że w nieznanym regionach,
Za chmurami imiona błyszczą bohaterów,
Na zawsze utajone wśród czystych eterów:
Każde, na swoich srebrnych zasiadając tronach.

W błękicie trwa, aż oto dzień promieniejący,
Gdy na ziemię zstąpią dobre genjusze,
Imię twoje z Alfredami*) oraz wielkie dusze

Dni dawnych — zlane w jedność — hymn przerażający
Zagrzmia, co huczeć będzie w nieskończone dale,
Aż tam, gdzie Bóg przebywa w wiekuistej chwale.

tlóm. A. L.

*) Zwycięzki król angielski.

KRONIKA POLITYCZNA*)

Nocne seanse.

—0—

Ścisłe według wzoru prawosławno-petrogradzko-kiereńsko-mienszewickiego posiedzenia naszego gabinetu Listopadowego odbywają się przeważnie w nocy. Podczas gdy na Zachodzie wszyscy states-promotors po północy śpią snem sprawiedliwych i nie ma takiej mocy ludzkiej czy Boskiej, takiego telefonu czy telegramu, którymi by ich odważono się budzić, nasi ministrowie ściśle wedle petersburskiego stylu zaczynają dopiero po północy obrady i „tłkowania po principiach“. W Paryżu czy w Londynie, w Rzymie czy w Kopenhadze sesje ministerjalne odbywają się normalnie w dzień biały. Nawet gdy Niemcy byli już pod Compiegne Clemenceau i Pichon, Tardieu i Poincare kładli się spać przed 10-tą, a wstawali o czwartej, piątej i szóstej. Nasi elements sots, nasi Lansingowie i Balfourowie zbierają się o 2-iej w nocy, a wstają oczywiście niedospani, zadrzemani, ciężcy i ospali. Późno w noc jarzą się okna w pałacu Namiestnikowskim jaskrawo, a za szybami obraduje i debatuje gorączkowo siedmiu braci śpiących, jakimi by sposobikami jeszcze nie dopuścić do tej przeklętej rekonstrukcji, jakiby to ochłap znowu rzucić w paszczę pęczniącego smoka socjaldemokracji, czyhającego na pożarcie bladej królowny.

*) Kronika polityczna jest dalszym ciągiem wydawnictwa tajnego, wychodzącego pod tym samym tytułem w latach 1917 i 1918, pisanego przez tego samego autora.

Tak samo po nocach, białych nocach petersburskich debatowali i debatowali Czeheidze, „Cyankali“, Skobielew, Lwow, Plechanow, émiąc papierosiska i zapijając się czajem, aż i przedebatowali całą Rosję. Są to oczywiście jeszcze pozostałości z nawyków kawiarnianych. Tak się debatowało i przekształcało kulę ziemską w Bernie, w Genewie, w Kryształowej i w Udziałowej i obyczaj ten przetrzymało się miłośnie i nadal, kiedy ślepy Los trafunek powołał nałogowo-nocnych conspiratorów na fotele ministerjalne wprost z kawiarni i z redakcji. Ale obyczaj to fatalny i jak się rzekło orjentalny. Po nocach wogóle dyskutują tylko mężowie stanu czwartego, ale nie „mężowie stanu“. Z chwilą, gdy się dekretuje 8 godzinny dzień pracy nie zaprowadza się u siebie 8 godzinną noc pracy. Idee i pomysły, które lęgną się nawet w ministerjalnych głowach mocno już przemęczonych dzienną pracą muszą zdradzać brak poczucia dziennej rzeczywistości i mieć cokolwiek nocniczki albo zaraniarski styl. Nawet zespół notorycznie genialnych indywidualności politycznych robiłby raz po raz kardynalne głupstwa, gdyby mu kazano po całodzienną pracę biurową jeszcze zbierać się o północy raz po raz i obradować nad szybką rozbudową państwa polskiego i jak najspieszniejszym zniuruchomieniem przemysłu krajowego celem dania pracy tysiącom bezrobotnych.

Dlatego radzimy poważnie naszym najmilszym zerwać z systemem pofajeramentowych sesji ministerjalnych.

Nocny modus vivendi i regendi dobry jest tylko w strefie podbiegunowej czy polarnej, tam gdzie słońce nie zachodzi. Praktykowany w Warszawie sprawia, że dekrety i rozporządzenia rządowe noszą na sobie często znamiona nieprzespanych nocy. Przeciętny obywatel, czy to burżuj, czy towarzysz, czy to z warstw posiadających, czy wydzierających, przechodząc około pałacu Namiestnikowskiego i widząc światło w oknach drapie się po głowie, zdjąwszy czapkę i myśli z niepokojem:

Z jakim tam nowym konceptem wyrwą się jutro rano nasze „zapoznane miernoty“? Co tam nowego z mienszewickiej legislatury skopiniują „viribus unitis“ szwagrowie Prauss i Iwanowski? Co tam zapieje nad ranem nasz nieoceniony Thukogucik? Jaki tam nowy nieporządek bolszewicki szykują nam na przyszły tydzień nasi zaraniarze i nocnicy?

Bałagan przy polskiej Downing-Street.

—0—

Ministerjum spraw zagranicznych przy ul. Miodowej domaga się natychmiast rekonstrukcji, a raczej mówiąc prosto z mostu, rozpedzenia na cztery wiatry. In capite et membris. Reorganizacja tego resortu powinna odbyć się w ten sposób, aby pochwycić od samego obywatela ministra, a skończywszy na ostatnim panu woźnym, ani jedna z tych figur nie osta-

ła się w gmachu. Żelazną miotłą. Z radykałami — radykałnie, z aktywistami — aktywnie.

Pan Wasilewski okazał się ministrem nie z „prawdziwego zdarzenia”. Dyplomata starej daty, ze szkoły Feldmana (ze Zbaraża), aczkolwiek w życiu dochrapał się w r. 1916, aż do stanowiska sekretarza tak wybitnego i o europejskim pokroju dyplomaty, jak p. Michał Sokolnicki, to jednakże od tych dwóch mistrzów swoich nauczył się nie wiele. Jako korespondent galicyjski, kadecko-izraelskiej „Rieczy”, pisma, jak wiadomo, wychodzącego w języku rosyjskim, nie wyróżnił się też p. Wasilewski niczem innym wśród korespondentów tego wszechświatowego organu, jak chyba tylko nieobrzezaniem rytualnym. Poglądy natomiast naszego rieczownika na stosunki międzynarodowe i między państwowe są ściśle obrzezane. Jako taki, jako wybitny feldmanowiec, zbłądził również na manowce ukraińskie i jest ścisłym wyznawcą idei Rohrbacha, generała Gebsetzla, zmarłego jon. Eichhorna oraz arcyksiążąt Fryderyka i Wasyla o konieczności stworzenia wielkiego państwa ukraińskiego.

Powołany w listopadzie najmiłościwiej na stanowisko ministra spraw zagranicznych z dorady filuternego majstra Ignacego, nietylko nie okazał się rejtmenem na rejtplecie, ale wyjawiał odrazu elementarne mamkamenta, nieporadność i niezaradność rozbrajającą oraz brak jakiegokolwiek kompetencji na tak odpowiedzialne stanowisko w tak historycznym momencie, jaki przeżywamy. To też w kilka dni wziął go odrazu za łeb, jak to mówią w Radykalji nie wiceministrowany wiceminister, c. k. aktywista austriacki p. Filipowicz i obyty już i starty wśród macherów i streberów wiedeńskich manewrował wystraszoną i wybladłym swym chefem jak marjonetką.

Biedny lajbgój Orszy-Radlińskiej-Rajchmanówny, genialnej Egerji sztabu Pe-

peesowskiego zeszedł do roli „strohmana” i parawanu pana Tytusa Filipowicza, publicysty o kulturze zachodnio-europejskiej, władającego językami i co najważniejsze, bierzmowanego politycznie, bo jakiś czas w Londynie zamieszkałego.

W miarę jak malał i znikał wysoki i szczapowaty Wasilewski, rósł przy polskim Quai d'Orsay autorytet Tytusowaty. Aż wreszcie przebrała się miara cierpliwości nawet limfatycznego ministra Wasilewskiego i z okazji przepędzenia z Warszawy następcy Beselera — Kesselera eksplodował na miasto wcale ordynarny skandal, demaskujący atoli bałagańskie stosunki w ministerjum spraw zagranicznych. Wyleciał z Warszawy, jak z procy, pruski ambasador, ale wyleciał także z ministerjum austro-polski działacz pan Filipowicz.

„List otwarty”, jaki wiceminister wy stosował do ministra, pożegnawszy się z nim w nocy stwierdza tylko, że obaj należą jeszcze do pierwotniaków ludzkich i że tak w metodach, jak i manierach dyplomatycznych wzorowali się na dyplomacji albańskiej.

Po gwałtownej dymisji p. Filipowicza i przytulenia go i przyhołubieniu gdzieindziej dominującą postacią w polskim Foreign-Office został na razie tylko dr. Witold Jodko. Czy ten szef sekcji okazał się właściwym mężem i we właściwym fotelu, w to śmiemy również wątpić. Według naszych informacji i to licznych informacji, dr. Jodko jako wyjątkowy specjalista w sprawach wekslowych, nadawał się raczej na stanowisko dyrektora Banku Państwa, oczywiście gdyby cały dział wekslowy pośpiesznie usunięto z pod jego kompetencji. W każdym jednak razie dr. Jodko należała się jakaś teka, czy jakiś fotel i to natychmiast, gdyż już zaczynał pomrukiwać i gotów był do zaranzowania nowego kawału w stylu wywieszenia „Krasnej fany” byle tylko podstawić nogę temu „apostacie z Bel-

wederu”. Czy atoli obywatel Wroński powinien mieć zapchaną paszczę szefostwem, właśnie w ministerjum spraw zagranicznych, w to wątpimy, mając pod ręką broszurę tego publicysty z anno 1916 pod apetytnym tytułem: „Deutschland und Polen”. Pozwolimy sobie w najbliższym czasie przedrukować z tego elaboratu kilka pikantniejszych fragmentów, aby ułatwić szefowi sekcji wyjazd do Paryża na kongres pokojowy.

W każdym jednak razie sądzimy, że dr. W. Jodko kwalifikuje się na stanowisko reprezentanta Republiki raczej w którejś ze stolic wschodniej Europy. Mając w sobie po kądzieli krew rosyjską wyróżnia się wśród szablonowych socjalistów nobliwymi passjami, szeroką naturą i pańskim gestem. „Misera plebs contribuens” alias poczciwy, naiwny, proletarjacki tłum ani domyśla się, że ten światoburczy trybun, który kazał na zamku warszawskim zawiesić sztandar czerwony od krwi ciężko pracującego i często ciężko wyzyskiwanego ludu, czerwien zna tylko w dobrym czerwonym winie, i że ten „proletarjusz Jodko” przepuścił na śniadanieczka i kolacyjki fortunkę, jakiejby się nie powstydział niejeden burżuj z Erywańskiego Klubu. Stop!

Zresztą całe ministerjum przy Miodowej pełne jest jakichś niewyraźnych synów wybranego narodu, bardzo uzdolnionych i bardzo ujęzycznionych, bardzo ruchliwych, obrotnych, sprężystych, pomysłowych, „clever and best informed”, ale nie mających nic do czynienia w ministerjum spraw zagranicznych, a może przydatniejszych w ministerjum handlu i finansów.

Tych przeróżnych Baderów, Wittembergów, Rajchmanów, Grossternów należy, co najszybciej pousuwać jako predysponowanych i podskórnych germanofilów, którzy mając rozmaitych kuzynków w Berlinie mogą wynosić tam najpoufniejsze i najdyskretniejsze tajemnice urzędowe. Obda-

3) Męczeństwo Serbji.

(Notatki o działalności wojska austro-węgierskiego w Serbji, prof. R. A. Reissa).

Wojsko austro-węgierskie używało również kul wybuchowych (dum dum) fabrykowanych w r. 1914. Posiadam kilka egzemplarzy tych naboju o kulach rozrywających, dużo mniej niebezpiecznych niż naboje o kulach wybuchowych. Kule te znalezione w skrzyniach, na polach walki w Crna Para i w Parašnica.

Bombardowanie miast otwartych i burzenie domów.

Bombardowanie miast otwartych, mieściło się również w programie „Strafexpedition” wyprawy karnej, jak nazywały Austro-Węgry wojnę serbską. W ten sposób, zbombardowane zostały miasta: Białogród, Szabac i Łosnica. Zwidziałem te trzy miasta podczas

bombardowania: oto wyniki tego, co stwierdziłem:

Białogród: W mieście tym byłem od 2—4 października 1914 r. W tym czasie, bombardowali Austriacy miasto od 30 dni i tyłuż nocy. Białogród jest miastem otwartym, gdyż znajdującej się tam dawnej twierdzy tureckiej nie można uważać, za budowlę, służącą do nowożytnej obrony. Jestto ciekawy, pomnik historyczny.

Fakt ten nieprzeszkadzał Austriakom, do ustawicznego, bez przerwy bombardowania miasta. Pociski rzucono bez różnicy, na domy prywatne, gmachy rządowe i na fabryki. W ten sposób uniwersteckie gmachy zostały prawie całkowicie zburzone, muzeum narodowe serbskie przestało istnieć, dawny pałac królewski jest uszkodzony; ten sam los spotkał „pałac loterji” i dworzec kolejowy. Fabryka zarządu tytoniowego, została całkowicie spalona pociskami zapalającymi i fugasami. Poselstwa i rosyjskie i angielskie trafio-

ne zostały austriackimi pociskami, pomimo powiewających na tych gmachach flag hiszpańskich, artylerzyści austriaccy, dwukrotnie trafili gmach własnego poselstwa.

Badałem uszkodzone domy prywatne, znajdujące się w pobliżu gmachów rządowych i stwierdziłem, że Austriacy chcieli wszystkie te domy zniszczyć. Było ogółem 60 domów rządowych i 640 domów prywatnych trafionych przez pociski.

Nawet szpitale nie ocalały. Tak więc, ogólny szpital rządowy, był czterokrotnie poddany bombardowaniu. Zostały zniszczone: mieszkanie administratora, salę operacyjną oddziału chirurgicznego, który mieści na podwórzu w oddzielnym budynku i przytułek, dla umysłowo chorych.

Zwracam uwagę czytelników na bombardowanie uniwersytetu, muzeum narodowego i szpitala.

Konwencja haska, podpisana przez Austro-Węgry, mówi wyraźnie, że bu-

rzać pełnym zaufaniem taki materiał ludzki i powierzać im najdelikatniejsze misje może (po aferach paryskich, nowojorskich i bolszewickich) tylko taki minister z dziecinnej bajki, jak ewangelicznie naiwny p. Wasilewski. Jest to gatunek dobry dla dyplomacji pokątnej, kieszonkowej i berlińskiej o której nawet w Szwajcarii niemieckiej kursuje monitum: „Vor Taschendiablomaten wird gewarnt“.

Ostrzegając więc ministra Wasilewskiego przed takimi „Taschendiablomatami“, którzy wałęsają się po kurytarzach polskiego Foreign Office przy ulicy Miodowej, radzimy mu szczerze, aby pousuwawszy ten cały narybek aktywistyczny, zmieciony z całej Europy w ten sposób heroicznie zrehabilitował się przed potomnością. Poczem, aby zapakowawszy manatki wytoczył sobie samemu dyscyplinarkę i kazał się zamknąć na rok z powrotem w redakcji krakowskiej „Kultury Polskiej“ pod opiekuńczymi skrzydłami wyroczni delfickiej polskich patriot-socjalistów pani Orszy Radlińskiej nee Raichmanówny.

Twardosz Thugutt.

—o—

Minister spraw wewnętrznych należy do gatunku ludzi, których w Niemczech nazywają Kraftmeyer. Jest to człowiek siły, mąż silnej ręki, żelaznej energii i śmiałej inicjatywy. Mąż silnej ręki powinien mieć atoli silną głowę. Jeżeli mąż silnej ręki ma słabą głowę, a już co Boże broń lekkie zatwardzenie mózgu, to species taka określa się nazwą kraftmeyer, po polsku powiedzmy Twardosz. Twardosz postępuje we wszystkich okolicznościach twardo, otacza się twardoszami, wysyła wszędzie towarzyszków i rowoli wzburza dla siebie posłuch i respekt.

Kraftmeyer Thugutt cierpi przewlekle na częściowe zatwardzenie mózgu („par-

tielle Gehirnverstopfung, dementia acuta cum stupore“). Jako taki kwalifikuje się raczej pod obserwację dr. Radziwiłowicza albo do „zabiegów“ koleżeńskich dr. Chodźki. Tymczasem złośliwy traf sprawił, że ten buchalter-ludowiec zamiast znaleźć się w klinice znalazł się u steru nawy państwowej. Stąd pewne dość zresztą humorystyczne nieporozumienia i afery. Ni stąd ni zowąd n.p. wpada tak naiwny samouczek na ideę oskalpowania orła polskiego. W normalnych warunkach, w normalnym państwie t.j. w takiej Czarnogórze lub w Honduras, w Gruzji lub w Polinezji minister, któryby wpadł na podobną ideę i wydał odpowiedni cyrkularz, zostałby natychmiast osadzony w najbliższym cyrkule, poczem ogolonoby mu łepetynę i ubrano w kaftan bezpieczeństwa. Pierwszy minister spraw wewnętrznych w niepodległej Polsce jeszcze nie chodzi w kaftanie bezpieczeństwa. I to jest objaw cokolwiek niepokojący. Bo w takim razie należy przypuszczać, że my wszyscy, którzy tolerujemy takiego dekoratora powinniśmy chodzić w kaftanach bezpieczeństwa. Albo że nie mamy ambicji. Albo że nie mamy uncji odwagi cywilnej. Tertium non datur.

Rozzuchwalony bezkarnem „ugęśnieniem orła“ minister „internista“ rządzi dalej. W manierach i metodach zaczyna przypominać cośkolwiek dobrze nam znanych starych generał-gubernatorów usmieriteli. Tylko a rebours, na opak czy na wspan. Usmieritiel burżuazji. Urzędników usuwa telegraficznie lub telefonicznie i zastępuje ich masowo „fachowymi towarzyszami“. Telegramy Thugutta mają styl telegramów Kleigelsa, Trephofa, Seyna, Kotzebuego, Lambsdorffa, Kuttlera, Schulmana, Plewego, Mengdena, Essena. Czyżby w towarzystwie ministrze odezwała się najniespodziewaniej, podświadomie krew niemiecka? Ależ przeciw rodzinie Thugutt nie należała nigdy do „Herrenklasse“, ale była sobie skromną rodziną

kolonistów niemieckich osiadłych w Warszawie. Skądżeż ten ton despotyczny junkierski, landratowski, pruski w dyspozycjach i verordnungach satrapy ludowego? Czy przypadkiem p. Thugutt nie ma tylko tyle z ludem wspólnego, że trzeba mu łód na głowę przykładac, aby uspakając jego carowładcze ataki? Czy Kraftmeyer Thugutt nie zdaje sobie sprawy z tego, że „quod licet Jovi non licet Thugutowi“? Że co wypada ministrom absolutystycznego regimu to nie uchodzi ministrowi z czerwonej separatki?

Szczególniej boleśnie dotknęło nas np. wyrzucenie na bruk p. Stanisława Downarowicza. Szeroki ogół nie wie zapewne o tem, że znakomitych Downarowiczów jest dwóch. Jeden jest ministrem i jako taki na wiecu inteligencji puścił sobie w oracji dość swobodną błagę że „ra Litwę idzie od Pskowa Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz z obrzymiem wojskiem...!“ Istnieje stare łacińskie przysłowie: Omnis homo mendax czyli „każdy człowiek łgarzem“. Choć każdy człowiek normalny łgarzem, to jednak ministrowi dzisiejszemu, choć nienormalnemu nie wypada na wiecu radykalnej inteligencji puszczać tak radykalne kaczki, gdyż współcześni mogą go nazwać za to kłamcą czyli po łacinie: mendaxem. Otóż oprócz ministra mendaxa Downarowicza istnieje jeszcze chef sekcji administracyjnej w ministerjum spraw wewnętrznych pan Stanisław Downarowicz. Obaj bracia różnią się tem, że jeden jest aktywistą—socjalistą a drugi aktywistą burżujem, podobni zaś są w tem, że żadnych studjów nie pokończyli, szablonowem wykształceniem fachowem gardzą i temsamem już kwalifikują się na ministerjalnych dygnitarzy w państwie liczącem 25 milionów mieszkańców.

Otóż jednego z nich pana Stanisława ośmielił się p. Thugutt, kolega drugiego z nich Me... tego Medarda „stante pede“ usunąć, i na jego miejsce wpakować in-

dynki poświęcone nauce, sztuce, dobroczynności powinny być oszczędzane, • ile nie służą do celów wojskowych.

W danym wypadku budynki te nie służyły do użytku wojska i nie było w ich sąsiedztwie gmachów, których zniszczenie, nakazywałyby względy strategiczne.

Stwierdziłem również, wszędzie potrochu, ślady bombardowania za pomocą szrapneli, mianowicie uniwersytet i jego sale wykładowe, zasiane są kulami pochodzącymi od tego rodzaju pocisków, zachowałem znaczną ilość tych kul, jako dowody rzeczowe.

Otóż szrapneli używa się w wojnie normalnej, wyłącznie przeciwko siłom nieprzyjacielskim, nigdy zaś do bombardowania miast otwartych, używanie tego rodzaju śmiertcionośnego pocisku stwierdza, że Austriacy usiłowali dosięgnąć ludność cywilną Białogrodu.

Podczas mego dochodzenia w Białogrodzie, przez bombardowanie zabito 25 osób cywilnych, raniono 126 osób.

między niemi było 37 ranionych szrapnelami i 89 innymi pociskami.

Szabac: Byłem w Szabacu, od 22 do 24 października 1914 r. Szabac jest jednym z najbogatszych miast Serbji. Moja wizyta wypadła na czas bezpośrednio po inwazji Austriaków, którzy na skutek klęski nad Zadarem i Cerą musieli się z tego okręgu cofnąć. Miasto to od początku wojny, było codziennie prawie poddawane bombardowaniu, skutkiem tego pozostała tam znikomo mała liczba osób cywilnych. Środek miasta został prawie całkowicie zdemolowany, przez zwyczajne i podpalające pociski. Z większości domów pozostały jedynie okopcone przez pożary fasady.

Domów zniszczonych lub uszkodzonych naliczyłem 486. Bombardowanie tego otwartego miasta niebyło spowodowane, koniecznością wojenną i strategiczną, gdyż znajdowało się poza obrębem pozycji serbskich.

Łośnia: W mieście tym stwierdziłem tę samą wściekłość niszczycielską,

która uderzyła może poprzednio w Szabacu. Palono miasto i miejskie przedmieścia bez żadnej potrzeby.

Podczas mego dochodzenia w czterech tylko okręgach obwołu szabackiego spalono 1658 domów, w okręgu pocerskim 232, w okręgu maczwańskim 457, w okręgu azbukawackim 228, w okręgu zadorskim 748. Zaznaczyć należy, że okręgi te, są okręgami rolniczymi i, że spalone 1658 domy, były domami wiejskimi, skutkiem tych pożarów 1748 rodzin z tych okręgów, zostało pozbawionych dachu nad głową.

O fakcie, że pożary te były zorganizowane przez armję najezdniczą, przemawia świadectwo wójta z Petkowicy, Panteleja Maricza, w którym to zeznaniu oświadcza, że austro-węgierscy żołnierze, mieli z sobą małe blaszane naczynia z jakimś płynem. Zawartością tych naczyń oblewali oni domy, które zamierzali podpalić.

D. c. n.

nego szewca sekcji. Nie stajemy nigdy w obronie c. k. aktywistów ale, w tym wypadku ośmielamy się przemówić kilka słów w obronie pana Stanisława. Wypchnięty z ministerjum przez gabinet p. Świeżyńskiego, wrócił na swe miejsce tryumfalnie, po trzynastu dniach rozłąki, przyjmowany owacyjnie przez obu woźnych. Tymczasem groźny Kraftmayer Thugutt, czyszcząc swój resort znów wyrzucił na bruk taką siłą administracyjną, taki intelekt pierwszorzędną, taki talent organizacyjny! Gdzież ma pójść teraz dostawczy bezterminowy urlop? Gdzież ma oprzeć skołatana głowę? Gdzież znaleźć schron ten człowiek który tyle tyle dokazał dla niepodległości Polski?

Obywatelu ministrze Thugucie opamiętaj się! Pomnij jak was nazwał kolega ludowiec poseł Bomba: rozwiezganem bydelkiem! Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło! Powróć narodowi Downarowicza Stanisława. Miej wzgląd na Me... tego... Medarda! Nie obsadzaj wszystko partyjnymi twardoszami! Nie bądź kraftmeyerem!

Jarosz Thugut.

—o—

Niewiadomo czy warszawski minister Thugut jest potomkiem tego wiedeńskiego ministra Thugutta, który tak fatalną rolę odegrał w czasach rozbioru Polski i pierwszy rękę przyłożył do tego dzieła. Faktem jest, że i rządów tego Thugutta Polska błogosławić nie będzie. Nie tak długo popasa w ministerjum spraw wewnętrznych ta radykalna czelczyzna, a już zdołała sporo nastrzelać głupstw kardynalnych. Z zawodu ponoć buchalter czy aptekarz, poczem pupil i elew Studnickiego wykiwił w atmosferze „Gońca“ na którego łamach popisywał się ze swoimi germańskimi affektami. Naiwne kompilacje, broszurkowe tworzą dorobek publicystyczny tego symplisty, którego chaos dzisiejszy wyniósł, via Lublin, aż na fotel ministerjalny. Samouczek, który w normalnych warunkach mógł zostać z czasem nawet prezesem Kasy pożyczkowej na Pradze i skarbnikiem naprz. „Dudy“, dziś dzierży w dłoniach tekę ministra spraw wewnętrznych. Ostatnio popisał się ekscelencja Thugutt czy Thugutt*) operetkowym edyktem w sprawie mięsnej. Widocznie fanatyczny jarosz i wegetarianin zdecydował pewnego poranku,

Zakaz kilku dań mięsnych, który nie udał się Prusakom, rozporządzającym brutalną egzekutywą, miał się znaleźć posuch i udać się naszemu Thu-kogucikowi. Ale p. minister nie obliczył się z siłami. Chóralny śmiech restauratorów był jedyną odpowiedzią na befehl Thugutta. Może i p. Thugutt chciał coś gut thun ale się nie obliczył z rezonansem, jaki ten edykt znajdzie w barach. Ani jedna restauracja, nawet czwartorzędna ludowa nie zastosowała się do

*) Co do pisowni nazwiska towarzysza ministra istnieją wątpliwości. W piśmie przeznaczonym dla chłopskiej technicznej klienteli w „Wyzwoleniu“ podpisywał się p. minister po sarmacku bez h: Thugut, na edyktach atoli, rozlepionych na ulicach, że w jadłodajniach ma być odtąd według jego rozkazu jedno tylko mięso, podpisuje się Thugut.

dyspozycji ludowej ekscelencji. Tylko jeden z kelnerów życzliwych nowemu gabinetowi gdy, p. minister zaszedł do baru na flaki, powiedział mu szeptem nachylając się do ucha:

Jak ekscelencja będziesz jeszcze coś rozkazywał w sprawie aprobowacji i restauracji i tp., to zajdź zawsze do nas i spytaj się mnie. Ja ekscelencji powiem, jak jest i co jest. Wtedy się takiego byka nie strzeli, z którego się nawet towarzysze kelnerzy zaśmiewają.

Co począć z Bandurskim?

—o—

Głowią się i debatują Radykałiści co począć z Ojcem Markiem Oleandrowej Konfederacji. Ostatecznie wszyscy już wszyscy bez wyjątku, którzy w Sierpniu i Wrześniu r. 1914 oświadczyli się za państwami centralnymi i zaprzysięgli Franciszkowi Józefowi wierność są już dostojnikami niepodległej Polski. Ostatecznie cały rząd dzisiejszy wszystkie dykasterje, ministerja, legacje, reprezentacje obsadzone zostały w komplecie przez naszych Marghilomanów i Siewruków, przez naszych Maurów i Datów, przez naszych Radosławowych i naszych Andrassyeh i Madarassyeh. Ostatecznie ani naszego Brantinga ani naszego Malinowa ani naszego Venizelosa nie dopuszczono jeszcze do władzy czy nawet do kraju, podczas kiedy każdy najmizerniejszy pionek awizowany cztery lata przez N. Kund K.-N. ma dziś rangę i posadę, szlify lub bączka.

Co tedy zrobić z księdzem Bandurskim? Z tym złotoustym karnodzieją, który jak z rękawa sypał cytatami z Wyspiańskiego, z Słowackiego, z Jaworskiego i z Germana i w chowanych obecnie na gwałt i wycofywanych z księgarń lejborganach N. K und K. Nu. drukował obok Feldmana i Wodzickiego, Daniłowskiego i Srokowskiego natchnione encykliki aktywistyczne i bombastycznie napuszone okolicznościowe kazania, w których co trzecie słowo było „Moskal“ i „Kozak“, a w których nigdzie nie dopatrzylbyś się słowa: Prusak i Austrjak! Co tedy zrobić, czem nagrodzić, jak przypomnieć ogółowi, rezydującego od dwóch lat w ukochanem Wiedniu austriackiego biskupa?

I oto jedni wpadli na pomysł aby wysłać go „w specjalnej delegacji która notyfikowałaby prowadzącym wojny i neutralnym państwom powstanie niepodległej Polski“. Wysłać go ni mniej ni więcej tylko z Bolesławem Limanowskim. Ceniemy bardzo wysoko i szanujemy starego lwa socjalizmu polskiego, świetnego uczonego, niestrudzonego pracownika, cenimy tembardziej że B. Limanowski mimo krwi nie aryjskiej nie dał się porwać ślepo temu prądowi filogermańskiemu z r. 1914 i stał zdala i z rezerwą od tych „uroczystości“ Krakowskich, które miały miejsce równocześnie z uroczystościami berlińskimi. Wątpimy jednakże, aby sędziwy nestor historjografii socjalistycznej nadawał się do tej dyplomatycznej misji. Wysyłanie zaś Bolesława Limanowskiego z biskupem Bandurskim uważamy za pomysł zgola operetkowy, dojrzały w głowie którą mo-

głaby płodzić libretta Offenbachowskie ale nie zaprzatać się obmyślaniami kto ma brać udział w delegacji niepodległość notyfikującej. Pomysł ten zresztą zdaje się już przepadł. Cóż tedy począć z księdzem Bandurskim?

I oto powstaje znów projekt inny. Najzacniejsza dusza, ksiądz Ciepichall kapelan i pułku rzetelny bohater w sutannie, półtoraroczny więzień z Benjamina występuje z niefortunnym pomysłem, aby księdza Bandurskiego mianowano biskupem polowym. Wierzymy najgłębiej w szczerłość intencji i w ognisty zapał księdza kapelana, rozumiemy jego ewangelicznie czysty, prosty ale i bezkrytyczny kult żywiowy dla księdza Bandurskiego. Przeciw tej propozycji atoli odważamy się najkategoryczniej zaprotestować. X. Bandurski jest osobistością polityczną, prononsował się bardzo stanowczo w jednym kierunku, zapędzał się w swoich potępianiach i wyklinaniach bardzo daleko i jako taki, jako wybitnie progerman biskupem polowym całego wojska polskiego, być nie może. W skład armji polskiej wchodzić będą szlacy, wielkopolanie, mazurzy i kilkaset tysięcy najszczerzych najrdzenniejszych Polaków którzy nosić musieli sznele rosyjskie. Nominacja wiedeńskiego rezydenta, biskupem polowym miałaby w tych warunkach charakter prowokacyjny.

Dla księdza Bandurskiego powinno się znaleźć miejsce w uniwersytecie lubelskim. Tam mógłby wykładać np. literaturę polską oczywiście pod warunkiem że wielkich poetów romantycznych nie będzie co minutę cytował i to fałszywie, przekształcając sens i myśl „ad usum Delphini Habsburgiensis“.

Szcęście do Wojtków.

—o—

Do kogo jak do kogo, ale do Wojtków mamy niebawem szczęście.

Rok temu jeszcze nie słyszałeś nic, jak tylko gdzie było się ruszyć: Wojtek to Wojtek tamto, Wojtek owo. Dziś co chwila obija ci się o uszy: Wojtek to, Wojtek tamto, Wojtek owo.

Dawniej Wojtek Roztworowski, dziś Wojtek Malinowski. Dawniej „hrabia“, dziś towarzysz.

Coprawda pierwszy z nich tytuł hrabiowski doczepił sobie własnowolnie. Hrabiów Roztworowskich w żadnym poważnym herbarzu niema. Do tytułu tego roszczą sobie Roztworowscy pretensję, odkąd cesarz Aleksander III przebywając raz w Spale zaprosił na polowanie i stryja „hr.“ Wojeiecha Antoniego Roztworowskiego, zwanego Antalkiem, a w kancelarji dworskiej na zaproszeniu dane przez omyłkę tytuł „comte“. Jest to więc w całym tego słowa znaczeniu hrabiostwo kopertowe. Sami Roztworowscy tytułu tego nie używają. Popisywali się nim tylko Michałek w Szwajcarji i nasza zeszlorcza znakomitość wszędobylska, sympatyczny Wojtuś. Na lata okupacji przypada formalny zlot masowy Roztworowskich.

Gdzie było się ruszyć, wyrastał z pod ziemi jakiś wybitny Roztworowski. Ale najwięcej splendoru nazwisku dodał junkier aus Rybczewice. Przed wojną nieszkodliwy grafomajtek, podczas wojny stał się szkodliwym grafem i maniakiem dyplomatycznym. Wbił sobie nieborak w głowę, że jest gotowym materiałem na męża stanu. Tresowany i inspirowany w redakcji krakowskiego „Czasu“, pouczał potem w warszawskim klubie Myśliwskim i po salonikach arystokracji, o koniecznościach possybilizmu, realizmu, minimalizmu i serwilizmu. Żarliwy katolik ze względu na swego bogatego teścia, w katolickiej dynastji Habsburskiej dopatrywał się kotwicy dla Polski. Nie wezwany, nie proszony i nie namawiany zaczął się kręcić, fertać, biegać, telegrofować, podpisywać, odpisywać, rozpisywać, „ważnicznić“, aż wreszcie dopiął swego i zaczął uchodzić w high-lifie za męża z krętosem „opacznościowego“. Uwierzono w jego realizm i realną robotę, przypomniawszy sobie, że już na uniwersytecie lat temu 20 dał dowód realistycznego światopoglądu, znalazłszy się podczas pobytu cara i carowej w teatrze Wielkim na galowem przedstawieniu, za co otrzymał od carowej „cukierek“, ale od kolegów consilium abundi. Ten to Wojtek polityczny swemi jazdami do Berlina, Sztokholmu i Szwajcarii zaszkoził polskiej sprawie bardzo i, jeżeli przyjdzie do likwidacji wielkiej własności ziemskiej, to żadnej indemnizacji wypłacić cukierkowemu ale niefortunnemu junkierkowi nie trzeba. Za swoje podróże dyplomatyczne powinien zostać skazanym na godność konduktora przy sleepingu, na drodze warszawsko-wiedeńskiej.

Sleepingiem tym zaś będzie jeździł prawdopodobnie drugi Wojtek polityczny, obecny minister, obywatel Malinowski. Przyznajmy z góry, że do dyplomatycznej kariery bardziej przygotowany intelektualnie od „hrabiego“ z Rybczewic. Choć z profesji malarz „pokojuowy“, naturę ma wojowniczą i nie pokojową. Jeżeli wierzyć wszystkim legendom o nim kursującym, to jest to naturbursz, energetyk i natura dynamiczna, która może i w przyszłych zespołach rządowych kiedyś się przyda. Jak tamten Wojtek był zwołanym danserem i namiętym turystą politycznym, tak ten jest gwałtownym piechurem i globetrotterem. Tamten był słodkim jak lukrecja, ten jest gorzkim jak piołun. Tamten miał chorobliwe zбочenie do obsadzania rozmaitych tronów, ten ma zdrowy popęd do „brukowania trotuarów szlacheckimi czaszkami. Tamten ze swoją polityką dworską należał do zamierzchłej przeszłości, ten ze swoją propagandą fornalską jest typem przyszłościowym. Obaj hołdując zasadzie „tousjours parler jamais penser“ dają się porywać elokwencji i strzelają bakami niegodne osobistości tak wysoko postawionych w hierarchji społecznej i obdarzonych zaufaniem narodu czy ludu. Różnica polega na tem, że dworski Wojtek kompromitował nas wszystkich w oczach zagranicy, a ministerjalny Wojtek kompro-

mituje tylko cokolwieczek swój gabinet takimi aforyzmami jak np.: „połowa erfurckiego programu już spełniona“, „wnet wszystkie gmachy obwiesimy czerwonymi sztandarami“ i t. p.

W komedji polityczno - obyczajowej, którą na tle dzisiejszych czasów napisze jakaś nasza rodzima spółka Caillaveta i de Flersa p. t.: „Polityczne Wojtki“, rolę towarzysza ministra będzie musiał kreować sam Frenkiel, dla roli „hrabiego“ Wojtki wystarczy któryś z znacznie pod-rzędniejszych aktorów, tylko dobrze noszących „złe skrojony frak“.

Pułk „architektów“.

—o—

Mecenas Marjan Zbrowski złożył godność wiceprezesa Związku Budowy Państwa Polskiego!

Hiobowa ta wieść rozeszła się po Warszawie nad wieczorem i wstrząsnęła do głębi całym naszym światem politycznym. Podawano ją sobie z ust do ust, nie wierząc w autentyczność, przypuszczając że jest to tylko chwilowe nieporozumienie. Dopiero telegram agencji Havasa, wydrukowany na drugi dzień rano potwierdził autentyczność tej wiadomości. Stoimy przed nagim faktem bezradni i musimy się z nim godzić, czyby to nam konweniowało czy nie. Z. B. P. P. tj. Związek budowy Państwa Polskiego (inaczej Zbiórka Bezradnych Papli Politycznych) traci w usuwającym się swoją najbardziej czołową postać. Już dwa miesiące temu zapowiedział mecenas Zbrowski, że jak tak dalej pójdzie, to on składa dostojność wodzireja architektów i zajmie się powrotnie choćby kolekcjonowaniem marek pocztowych. Ale nikt tym pogrożkom liryzującego lidera Z. B. P. P. nie dawał początkowo wiary. Ufano do ostatka, że mecenas nie zraził się przeciwnościami, przetrzyma dni kłeski i poprowadzi swoją trzodkę do zwycięstwa. Tymczasem mecenas się zawziął, uparł i zwyciężył, że z tą Bożą czeladką ani do fotelika ministerjalnego, ani do ławki sejmowej nie dobrnie, porzucił całą kompanję Z. B. P. P. na łasce Bożą i dał nura. Co robi ta grupina ramoląt i confusionsrathów, będąca (istnem wyrażając się słowami błogosławionego Jana Kapistrana): asylum asynorum bez wodzireja mającego tak wilczy głód kariery politycznej i bądź co bądź niezwykłą energją przepychania się i narzucania swej figury, to się w przyszłości pokaże.

Pan Marjan bowiem opuszcza swych cywilistów i wstępuje do wojska. Tak przy najmniej czytaliśmy w zaprzyjaźnionej z nim prasie. Mimo 46 wiosen, jakie liczy wstępuje jako ochotnik. Nie dziwny się liderowi architektów, gdyż o militarystycznych inklinacjach rzutkiego syna palestry wiemy oddawna. Leży przed nami nawet ilustracja niemiecka z zimy r. 1917, na której p. Marjan obok grafa Chronikiera i niejakiego Simona figuruje z podpisem „Major von Zbrowski“ i z dopiskiem w tekście tegoż pisma „Unsere

Freunde in Warschau“ (Nasi przyjaciele w Warszawie). Jeżeli rok temu mianowano p. Zbrowskiego w Berlinie, w Karsnepolis majorem, to żywiny nieplonną nadzieję, że w Warszawie naczelną komenda przy tej szarzy go utrzyma. Maluczko a za jego przykładem pójdzie prawdopodobnie cały Z. B. P. P. Wnet zobaczymy może maszerujący w stronę dworca kolejowego pułk architektów z księdzem Popławskim jako kapelanem, z L. Kulczykiem jako kapelmajstrem. A na siwym koniu będzie jechał „major von Zbrowski“, ten sam który miał już być lada chwila polskim Cavourem a tymczasem będzie napewno polskim Garibaldim!

Rikoszetem.

—o—

Bandy austrjacko-hajdamaków rozgromiły konwikt w Chyrowie, uprowadzając 20 ojców Societatis Jesu widocznie w myśl maksymy „cel uświęca środki“. Jest to kara za grzeszki ecclesiae militantis, podczas krwawej wojny. Mocarstwo Watykańskie postawiło na Karola i na Wilhelma, narażając na poważne wątpliwości, nie tylko sumienie katolików z Bożej łaski, ale i swoje finanse.

Ludzie, którzy przebywali w Kijowie pamiętają dobrze działalność niejakiego Sopucha także z Societatis Jesu, którego namiętne i ruchliwe „austrjackie“ gadania trafiały do grubych uszów naszych panów i półpanów ukraińskich. Ów ojczeszek ośmielił się nawet w miejscowym piśmie katolickim bojkotować tworzenie się armji polskiej w Rosji, a filipikę swoje, oczywiście z namaszczeniem patrioty, rozrzucił podczas mszy w kościele. Sic transit...przysłowiowa mądrość Societatis Jesu. Estis sicut cadaver... i. g.

Zdrowy pogląd dr. Janiszewskiego.

—o—

Kiedy dr. Janiszewskiemu z Zakopanego, dzielnemu pogromcy osławionego Chramca zaproponowano tękę zdrowia w dzisiejszym gabinecie w spadku po prusofilu dr. Chodźce, ten postawił daszyńszczykom bardzo oryginalne warunki, pod jakimi wstąpiłby do czerwonego trustu.

Jeżeli mi zagwarantujecie, że najmniej sześć lat pozostanę na tem stanowisku — przyjmuję.

Jak widzimy z tego doktor Janiszewski zapatruje się na dzisiejszy gabinet zdrowo i higienicznie. Wie on dobrze, że jak łatwo teraz się na którym z fotelów ministerjalnych, tak łatwiej jeszcze z niego zlecieć. Znacznie pewniejszem jest stosunkowo stanowisko woźnego ministerjalnego.

Pensja cokolwiek mniejsza, ale regularna Piastowanie teki w tych ersatzowych gabinetach nie należy do rozkoszy, ani nawet do przyjemnostek.

W ciągu niespełna roku przeżyliśmy 4 gabinety i dwa prowizorja. Z byłych ministrów dałoby się skleić wcale pokaźne stronictwo, ewentualnie dałby się stormować

wcale tłumny pochód, który niosąc tablicę: Chleba i pracy! mógłby predefiniować po mieście! Istnieją restauracje, w których przy stołach siedzi po tuzinie wytyranych weteranów ministerjalnych.

Jeżeli tym tempem pójdzie dalej, słowo minister stanie się tak obraźliwe, jak ongiś było w gwarze ludowej słowo: sufragan, a zafiarowanie teki przez klekającego gabinet majstra partyjnego będzie się uważało wprost za osobistą obrazę.

Ochoczy Chodźko.

—o—

Były kierownik ministerjum zdrowia publicznego z czasów Rady Regencyjnej, współpracownik „Gońca“ i „Godzi-

ny Polskiej“ i działacz ultra-aktywistyczny dr. Witold Chodźko mianowany został podsekretarzem stanu w ministerjum zdrowia publicznego „z prawami ministra“.

Po mocnej rekuzie, jaką szanujący się człowiek dr. Janiszewski z Krakowa dał proponującemu mu tekę zdrowia obywatelowi Jędrzejowi, było do przewidzenia, że czyhający w ukryciu dr. Chodźko złapie w lot teczkę spadającą z balkonu i pomknie z nią żwawo do swej dawnej ministerjalnej kancelarii. Jakoż i tak się stało. Ten młody kędzierzawy brunet, wyspinawszy się na płecach Elpępków zasmakował już tak w swej władzy i dostojestwie, że trudno mu będzie wyperswadować wogóle,

aby z powrotem zabrał się do pisania recept i wsadzania czopków.

Po objęciu władzy namiętny Chodźko wygłosił zaraz serdeczny speech do zgromadzonych urzędników, poczem w imieniu gremium tychże odpowiedział mu w najgorętszych słowach drugi Witold „nadsekretarz służby zdrowia“. Będąca w programie mowa drugiego sekretarza ministerjalnego p. Jadczyka nie doszła do skutku, ponieważ dostojnik ten siedzi jeszcze w kryminale za kradzież ręczników, prześcieradeł itp.

Czy „zdrowie publiczne“ zyska cośkolwiek na nominacji p. Chodźki, czy ukraińska grasująca pierzchnie przed tym potentatem, śmiemy wątpić.

POLSKA KRAJOWA

LOTERJA

KLASYCZNA



R. G. O.

Warszawa, Kredytowa 4.

Na I-sze półrocze 1919 r.

Suma
wygranych

8 milionów 211 tysięcy marek.

WIELKA WYGRANA: 750,000 marek.

Ciągnięcie I klasy 13 i 14 lutego 1919 r.

Na każdej ćwiartce pieczęć z Orłem Polskim i napisem Rada Główna Opiekunicza.

Wilhelm II tajnyradca Mikołaja II.

—o—

Wilhelm II do niedawna cesarz niemiecki i król pruski władca, którego skinienie wystarczało do wysyłania całych niezliczonych zastępów „niezwycięzonych, w „szare mundury i pikethauby przybranych mas ludowych“ na pewną śmierć pod huraganowy ogień dział koalicyjnych był, jak się obecnie pokazuje doradcą, swego najdroższego przyjaciela Mikołaja II.

I nic dziwnego, że Mikołaj II mając takiego doradcę, tak nikczemnie zginął, boć przecie bezkarnie niemożna rad przyjmować od ludzi, którzy sami sobie nie umieją radzić.

Nie wdając się w rozstrzygnięcie pytania: W jakim stopniu rady Wilhelma Hohenzollerna przyczyniły się do upadku Mikołaja Romanowa dzisiaj stwierdzić należy, że rady te udzielane listownie w r. 1905, opublikowane przez rząd rosyjskiej republiki, dosadnie charakteryzują sposób myślenia i ustrój psychiczny tego internowanego na razie w Holandji ex-króla i cesarza.

Oto w mającym około 400 wierszy bitego pisma liście zatytułowanym „Najukochańszy Niki“ Wilhelm pisze między innymi:

„Byłoby pożyteczne gdyby do otoczonych przez wojsko deputacji przed pałacem carskim, car wystąpił na balkon i wygłosił do nich przemowę. Trzebaby, żeby cię przytem otaczało duchowieństwo w ornatach z krzyżami i żebyś przemówił jak ojciec. To trzebaby zrobić przed dojściem do słowa uzbrojonej siły zbrojnej. Tym sposobem możnaby uniknąć może prze-

lewu krwi, albo przynajmniej zmniejszyć jego rozmiary“.

Po tych rozczulających radach Wilhelm omawia sprawę niepopularnej wojny japońskiej i w ten sposób formuluje swe zapatrywanie na tę sprawę:

„W Europie wszyscy równocześnie doszli do jednomyślnego przekonania, że car jest osobiście odpowiedzialny za wojnę. Początek wojny, niespodzianka nagłego napadu, ujawniające się niedostateczne przygotowanie, wszystko to — jak mówią jest jego winą. Mówią że tysiące rodzin, które swych członków na wojnie straciły, za tę przelaną krew czynią odpowiedzialnym cara i że swe skargi przed jego zanoszą tron“. Wynikiem tego wrażenia są prądy dające się wyczuwać między publicznością, stwierdzające, że b. car sam powinien wziąć w swe ręce naczelne dowództwo i stanąć na czele wojska. Zarówno publiczność europejska, jak i naród rosyjski ogląda się instynktywnie na cara i oczekuje, że teraz wystąpi i, że stanie na wysokości, wielkiej swojej sprawy. Oczekują na niego, że pokaże wszystkim, iż on samowładca, swego ludu gotów jest dzielić jego troski i męki, o ile to tylko jest w jego mocy. To ogólne oczekiwanie wyraził ktoś bardzo zręcznie w następujących słowach (tekst tego ustępu napisał Wilhelm po francusku). Car musi spełnić rzecz wielką, aby prawdziwie wzmocnić swą potęgę i uratować zagrożoną dynastję. Musi zapłacić swą osobą“ (il faut qu'il paye de sa personne).

W zakończeniu Wilhelm radzi: „Możnaby wystąpić z naganą, ogłaszanych, kierowanych do cara listów i memoriałów i powiedzieć, że jest to zły zwyczaj, którego nie powinno się powtarzać. Jeśliby zaszła konieczność, dania reform, które car uznalby za pożyteczne dla swego ludu, to w żadnym razie nie należy obiecywać, żadnych prawodawczych zgromadzeń, żadnych konstytuant, żadnych konwentów narodowych, a poprostu dać „habeas corpus“ oraz rozszerzyć kompetencji rady stanu. Żadnej wolności zgromadzeń i wolności prasy i wydać do wszystkich cenzorów najostrożniejszy rozkaz unikania na przyszłość wszelkich wolności. Następnie car musi tę swą rolę usprawiedliwić przed swymi poddanymi względami wojskowymi i, jeśli uzna za możliwe i konieczne, wziąć osobiście udział w wojnie... Następnie otoczony swym duchowieństwem car, z chorągwiemi kościelnymi, krzyżami, kadzielnicami i ikonami musi wystąpić na balkon i wygłosić mowę w formie manifestu do swych drogich poddanych, którzy zgromadzeni na podwórzu muszą być otoczeni przez zamknięte szeregi wojska z nasadzonymi bagnietami... wtedy głęboko wzruszony lud będzie cię głośno obwoływał, padnie na kolana i będzie się modlił za ciebie“. Tak kończy swe rady Wilhelm II, który okazał się na tyle rozsądnym, że sam będąc w podobnych warunkach według tych rad niepostąpił. I dzięki tej okoliczności ocalił on narazie swą głowę.

Profesor Fr. Papée o granicach Polski^{*)}

Zaczyna się coraz wyraźniej zaznaczać, że przesadny nacjonalizm, który się znacznie przyczynił do wybuchu światowej wojny, ustąpi miejsca bardziej humanitarnym, ogólnie - ludzkim uczuciom, zwłaszcza, że będzie tu potężną dźwignią, powszechne podniesienie się warstw ludowych. Wśród takiej atmosfery trzeba przy teraźniejszych rozgraniczeniach baczyć pilnie na to, aby nie został ferment na przyszłość, trzeba być wyrozumiałym nietylko dla siebie, ale dla wszystkich, odrzucając na bok wszelki szowinizm i wszelkie, choćby najmilsze, „praetium affectionis“.

Przy reklamowaniu pewnej granicy trzy czynniki mogą być punktem wyjścia: albo historyczny, albo etnograficzny, albo geograficzny, przez co rozumie się nietylko zabezpieczenie, ale także i ekonomiczne względy. Słusznie uznano, że czynnik historyczny nie może być w każdym wypadku rozstrzygający, do i jedna i druga strona będzie szukała najkorzystniejszego dla siebie momentu historycznego, a na jakiś powszechny, a sprawiedliwy „terminus a quo“ nie będzie możliwa zgoda. Przyjęto więc za podstawę czynnik etnograficzny. Ale i tutaj niezbędne są pewne modyfikacje: narody nie dadzą się dzielić w kratki podłużne i poprzeczne, bez względu na góry, rzeki i morza. Geografia jest naturą, z którą kompromisu niema, podczas gdy w etnografii możliwy jest kompromis na podstawie słusznego wynagrodzenia („recompensatio digna“).

Z tego stanowiska wychodząc zaczynamy od północnej granicy. Zapewne już nikt nie będzie nam kwestjonował prawa do całości Wisły naszej życiodajnej, zasadniczej arterji — aż do samego morza. Ale ten dostęp do morza nie może być ani fikcją, ani surogatem, tylko dawać rzeczywistą podstawę morską, t. j. obejmować całe Prusy od Gdańska (względnie Pucka) do Królewca — wszak to jest tylko jedna zatoka. Nie mówi się tu o skrawkach zbędnych, jak np. Wałcz (Deutsch-Krone) albo o północnej części rejencji gabińskiej (Gumbinnen), gdzie prócz niemieckiej, jest ludność litewska. Niepodobniestwem jest dla nas zostawić sobie na plecach ludność niemiecką (Prus wschodnich) niepodobniestwem dla Niemców posiadać jakiś kraj terytorjalnie oddzielony. Byłby to wieczny ferment, tak silny, że niegdyś okazał się główną przyczyną podziału Polski. Ale tutaj zachodzi, tak wielka, jak nigdzie zresztą u granic, trudność

etnograficzna. Wąskim tylko paskiem docieramy od Królestwa do Gdańska, który zresztą jest sam niemiecki, zresztą mamy ludność polską tylko na południu (Mazury) a bądź co bądź siedzi w Prusach w zwartym komplecie około 2 milionów Niemców, którzy przypadliby Polsce.

Prawda, że Niemcy, jako mniejszość mieliby w Polsce stanowisko zabezpieczone, świadczy o tem cała nasza historia — i, że przyszłe stanowisko ich ekonomiczne w kiuczu Powiśla byłoby nieporównanie świetniejsze — ale bądź co bądź nasuwają się tu pewne skrupuły narodowościowe na obie strony.

Takich trudności na zachodniej stronie niema. Czy ta granica w Poznańskim pójdzie trochę bliżej, czy trochę dalej od linii Warty, to ani nam, ani im wielkiej różnicy nie czyni, bo niema tu (żadnych) niezbędnych, czysto strategicznych czy handlowych punktów oparcia i można dzielić według proporcji ludności: etnografia nie ma tu (żadnych) przykazań geograficznych. Podobnie ma się rzecz z pasem, łączącym Poznańskie z rejencją opolską (w Namysłowskim, Oleśnickim), który może być szerszym lub węższym, według wskazówek etnografji. Natomiast rejencja opolska ludnościowo przeważnie polska, ma także i pod względem geograficznym prawie tak doniosłe znaczenie, jak Prusy. Jest to drugi taki rękaw zaborczy, klinem wpuszczony między słowiańskie ziemie, który żadną miarą przy Niemcach zostać nie może — czy to nam w całości przypadnie, czy też w pewnych częściach, przylegających do Opawskiego, Czechom. Pewne rozszerzenie granicy polsko - czeskiej w tem miejscu jest koniecznym potrzebem.

Przechodząc do granicy południowej, natrafiamy nasamprzód na kwestję spiską. Według wywodów prof. W. Semkowicza, niewątpliwą przynależnością Polski, pod względem historycznym (aż do pierwszego rozbioru), etnograficznym i geograficznym jest tylko dolina Popradu (Lubowla etc.), tu trzeba upierać się bezwzględnie, co do innych czysto etnograficznych kawałków po zachodniej stronie Tatr (w Orawskim) szukać porozumienia, bez poświęcania dla tego celu przyjaznych stosunków sąsiedzkich. Jak daleko będą sięgały wschodnie granice Słowaczyny, nie wiemy, na to jednak konieczne trzeba zwrócić uwagę, że bezpośrednio zetknięcie ich z granicą czy to rumuńską, czy to ukraińską lub rosyjską byłoby dla nas niezmiernie szkodliwym, bo odcinałoby nas w zupełności od całego południa. Bezpośrednie zetknięcie z państwem węgierskim jest dla nas nietylko ze względu na same Węgry nader doniosłym, ale także ze względu

na Trjest i jugosłowiańskie porty, a wreszcie jako druga, konkurencyjna droga do Wiednia i dalej, jakąśmy już w średnich wiekach mieli otwartą i używali w miarę stosunków, naprzemian z morawską drogą.

Wreszcie granica wschodnia. Niezbędność linii Bugu, jako minimalnej, oczywiście należyte zabezpieczonej (oba brzegi z odpowiednim pokryciem od wschodu), jako minimalnej a zarazem najstarszej historycznej (Czerwieńsk i Przemyśl) wschodniej granicy jest już wszechstronnie wyjaśniona. To przyłącza do naszych dzierżaw Lwów, a na południu przynajmniej Stryj, gdyż tak daleko sięgały za czasów Rzeczypospolitej granice przemyskiej ziemi i kompetencja przemyskiego grodu. Ale nie dość na tem. Bezpośrednie połączenie z Rumunją jest dla nas jeszcze bardziej doniosłym i pożądanym niż z Węgrami, a to ze względu na Dniestr, który ma być graniczną rzeką między Rumunją a Rosją czy Rosją, a więc neutralną i otwierającą dostęp do Czarnego Morza. Wisła do pełnego znaczenia dochodzi, tylko przez połączenie z Dniestrem, jako wielki przechód bałtycko-czarnomorski z etapami Lwów, Lublin, Warszawa, Toruń, Gdańsk. Przechód Dniestrowy nie jest dla Rusi niezbędnym, bo ma ich dosyć na wschodzie, a pozostająca przy Polsce ludność raska rekompensuje się sownicie ludnością polską, osiadłą w obrębie ziem ruskich. Co do granicy północno-wschodniej nie wydaje się niezbędną przynależność do Królestwa litewskich części gubernji suwalskiej, które się łączą z Litwinami rejencji szubińskiej — oczywiście za odpowiednią rekompensatą na Białorusi, gdzie sobie wyobrażam niezbędne nasze połączenie bezpośrednio z Rosją — o ile te ziemie wschodnie nie będą tworzyły jednej całości. Białoruś nie jest ani litewską ani rosyjską, sama się utrzymać nie może, a zdaniem nawet rosyjskich pisarzy zawsze silnie granitowała ku Polsce. Nie jest tu w niczem umniejszona Litwa, owszem powiększona, bo jakiegokolwiek podrywania Litwy ani organiczna potrzeba nie dyktuje, ani mądre przewidywanie przyszłości.

Ktokolwiek spoglądnie na mapę, ten przyzna, jak jednolitą, jak organicznie spojona, ten kompleks stanowi całość, jak znakomitą daje podstawę naturalną do świetnego rozwoju dla 24-miljonowej ludności, niewielkim tylko balastem obcym obciążonej, zdolnej do wytworzenia siły atrakcyjnej ku północnemu i południowemu wschodowi. Jeżeli będziemy dobrze budowali, to niema powodu zwątpić o idei jagiellońskiej, naturalnie w zmienionych odpowiednio warunkach. Ale naprzód musiały być kazimierzowskie, a potem dopiero jagiellońskie czasy.

^{*)} Jest to program omal minimalistyczny. Zapoznajemy z nim czytelników, zaznaczając, że w najbliższym czasie wydrukujemy program terytorjalny-maxymalny.

Odpowiedzi od Redakcji.

MISJA KAPITANA ZWISŁOCKIEGO.

Kapitan Zwisłocki prosi nas o sprostowanie i zaznaczenie, że udzielona przez nas pod powyższym tytułem notatka nie była przez niego ni udzieloną ni inspirowaną ni zgadza się z prawdą.

P. Tadeuszowi Hołowce. Pomimo powołania się na przechowane w archiwum policji czy cenzury niemieckiej sprawozdanie agenta niemieckiego, które pan czytał, kategorycznie oświadczamy raz jeszcze, że podaną w 1-szym numerze naszego pisma inwokację, oddania synów i braci naszych Hindenburgowi pan wygłosił w d. 5 sierpnia 1916 r. w sali tow. Hygienicznego na wiecu L. P. P. Przy tej sposobności przypomnieć panu musimy, że mowę tę Pan wygłosił z pamięci, a nie odczytywał jej pan, jak to czynił na tym samym wiecu pański przedmówca p. Rzymowski. Dlatego też rękopis pański jest dla nas niemiarodajny, gdyż natchnione pańskie słowa mogą istotnie nie znajdować się w rękopisie nie mniej jednak, jak to stwierdzają zachowane przez nas z tego pamiętnego wiecu notatki, słowa te Pan stanowczo wygłosił w tej formie, ku wielkiej radości oklaskujących Pana gorąco uczestników Ligi pogotowia wojennego. Przez to oświadczenie nasze uważamy całą tę sprawę za wyczerpaną, a na pańskie inwektywy równie naręzione jak inwokacja do Hindenburga odpowiadać nie będziemy.

S. D.
Pani Antoninie K. w Łącznej. Dziękujemy ale nie umiemy. Ataki na Naczelnika uważamy za absolutnie nie dopuszczalne.

Redakcji „Robotnika”. Wykwintny i dociepny „mały fejteton” pseudonima Zysława zawiera kilka błędów faktycznych. Zarzut jakoby a. n. należał do Wehrmachtu i „całował palęk generała Bartha” polega na złej informacji

i zdradza że autor małego fejtetonu przebywał w ostatnim roku prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie. A. N. ani goziny do Wehrmantu nie należał, natomiast znał Wehrmacht od pierwszej chwili, jak o tem świadczy choćby broszura p. t.: „Odprawa” której napisanie niemiechem publicznie stwierdza. W broszurze tej, rozesłanej wszystkim wybitniejszym politykom polskim w sierpniu r. 1917 poruszył a. n. po raz pierwszy bezwzględnie konieczność wciągnięcia do rządu komendanta Piłsudskiego.

Do Szczyptornej a. n. iś. nie potrzebował jako były austriacki poddany. Insynuacja pseudonimu Zysława jest zatem kłamstwem. Prawdą jest natomiast że a. n. po internowaniu Królewaków w Szczyptornie pierwszy tamże pojechał i z właścicielem Szczyptorny p. Bronińskim do organizacji pierwszej pomocy doznóg.

Nazwanie a. n. „bezserdeczną reptilią” jest może niekoniecznie trafne, ale oryginalne szczególnie ze względu na chęć wprowadzenia przez pseudonima Zysława w prasę polską czysto bolszewickiej, krasnogwardiejskiej terminologii.

Paniu Dr. M z ulicy Hożej: Wszelkie sprostowania będziemy zawsze umieszczali chętnie i lojalnie zaraz w następnym numerze.

Prenumeratorem Z. B., I. C., I. D. i innym. Przepraszamy za zwłokę w doręczaniu numerów. Ekspedycja działa jeszcze nie prawidłowo ale w najbliższych czasach doręczanie numer w będzie się odbywało punktualnie przez pocztę.

Koledze, autorowi dramatycznemu. Za poczciwy list serdecznie dziękujemy. „Niemieszanie się w jarmark polityczny” jest wygodne, ale niechlubne. Zapewna, że przyjemniej i „bezpieczniej” by było koncytować sobie nowy utwór dramatyczny, brać tantjeme, dać się oklaskiwać, kolekcjonować recenzje i pracować „sub specie aeternitatis” za pieceniem „dla dobra literatury ojczystej” jak piszecie. Dziś atoli każdy z nas powinien poczynać się do obowiązku „mieszania się w jarmark polityczny”. Macie przykład w autorach angielskich, francuskich, włoskich. U nas zaś tem bardziej. Nie można z założonymi ręko-

ma patrzeć spokojnie, sceptycznie i sybarytycznie, jak do ogrodu przez płot palamany wchodzi warchlak i wieprze i traktują kulturę. W momencie, kiedy ministerjum „sztuki” dostaje się w ręce jakiegoś zgoła barbarzyńskiego indywiduum, którego nikt z nas nie zna i nikt o nim nie wie jest obowiązkiem każdego sztukę uprawiającego i sztukę miłującego przeciwstawić tej inwazji białych irokozów najenergiczniej. W takich czasach koncytować spokojnie i tworzyć nie można i nie godzi się. Tak ja to widzę.

„Dobrze życzącemu”: Kochanemu, Drogiemu najserdeczniejsza dzięki. Obawy płonne. Zresztą nie by nas, nie odwiedilo od wtycznej drogi. „Niebezpieczeństwo bolszewickie” nie jest znowu tak groźne jak to sobie w „klubach” wyobrażają. Jest zresztą teoria, że gorąca a krótka łuznia bolszewizmu noworodkowi się przyda a w każdym razie przyjscie koalicyjnych wojsk przyspieszy. Na przyjscie tych wojsk czekają z niecierpliwością, jak o tem mamy ściśle informacje z Berlina sami Niemcy, naród choć plugawy i nieczemy ale dyscyplinowany, sforny, systematyczny i rzadny i z instyktów anarchicznych w dwuceseletniej resurze absolutystycznej chemicznie wyprany. Dla Niemców zaś jest to przecież wojsko nieprzyjacielskie zniawidzone! A dla nas?

Poecie. Raczej wierszoklecie. Rymowana wypocina mózgowa o Kościuszcze i Piłsudskim jest dokumentem kompletnego kretynizmu. Nado kawaler pisze stale „Piłsudzi”. Uczyć się przedtem ortografji i kazać sobie dać w domu sto batów na nagą sempiterną zanim się zacznie ujadać kaprawymi rymami.

Panu Z. Sz. z Żyrardowa. Co wolno Świętochowskiemu lub Niemojewskiemu to jest siwowłosym, zasłużonym, odpowiedzialnym i podpisującym się pełnymi nazwiskami znakomitym pisarzem polskim, to nie uchodzi prowincjonalnemu fiustrowi zle, zbyt prędko i zbyt bezkrytycznie przeżywającemu owies dziennikarski.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Tanie wydawnictwo książkowe.

28 książek rocznie.

Powieści, pamiętniki historyczne i popularno-naukowe.

Po 4-letnim zawieszeniu spowodowanem wypadkami wojennymi wznawia swe wydawnictwo.

Naczelnny Redaktor Zdzisław Dębicki.
Komitet Redakcyjny } Henryk Mościcki.
 } Jan Tur.
 } Lucjan Zanecki.

Katalogi i prospekty wysyła się bezpłatnie.

Adres Redakcji i Administracji — Sienkiewicza 12.

Pamiętajcie o „RAJU DZIECIĘCYM”

CHMIELNA Nr. 26

i kupujcie „NA GWIAZDKĘ”
DLA SWEJ
DZIECI WY
różne „ZABAWKI”
Wybór tam wielki i GENY PRZYSTĘPNE.

PSYCHOLOG bada duchowy stan człowieka, charakter według metod naukowych na podstawie przebiegu linii znaków symbolicznych, złojących się na dłoniach. Przyjmuje od 4—7 po poł. oprócz świąt. Nowogrodzka 11 m. 14 oficyna 2 piętro. Karol Chobot.

Warszawski Syndykat Rolniczy nabywa i sprzedaje wszelkie nasiona.

Hurtowa sprzedaż i ekspedycja prowincjonalna powierzona została p. Zygmuntowi Bereda, Pierwszej Polskiej Hurtowni i Ekspedycji Gazet, Warszawa, Marszałkowska № 119.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Administracja „Biblioteki Dzieł Wyborowych”, ulica Sienkiewicza № 12, (dom Tow. Ubezpiecz. Rosja) oraz wszystkie księgarnie w Warszawie.

Żadnych nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Redaktor przyjmuje w lokalu redakcyjnym codziennie z wyjątkiem świąt i niedziel od g. 5—7 w.